

Płomiennie-krwawy księżycu.

Frank L. Schoell (tłumacz „Chłopów“ Reymonta) największy potentat współczesnej literatury murzyńskiej, w artykule, poświęconym Janowi Toomerowi, mówi o „Odrodzeniu murzynów“. Nowela niniejsza Jana Toomera jest wymownym odrodzenia tego zaprzeczeniem, stanowiąc zarazem ciekawy dokument z życia murzynów amerykańskich.

I.

Ze sterczących, jak nagie szkielety murów, z podłóg spróchniałych i masywnych, ręcznie ciosanych belek dawnej przedziałni przedwojennej, cieniem zmierzchu powiało. Z cieniów wyloniła się okrągła tarcza księżycowa. Rozżarzona do białości, do płonącej kiści jodłowej podobna, oblała miękką swą jasnością chaty murzyńskie, długim rzędem stojące po obu stronach jedynej ulicy robotniczego miasta i oświetliła bramę fabryczną, rzeźbiącą w niej swą wróżbę.

Dla zażegnania nieszczęścia murzynki zaintonowały pieśń.

Skonczywszy robotę w kuchni swych białych państwa, Luiza, śpiewając, wspinała się na szczyt wzgórza. Skóra jej była koloru liści młodego dębu na jesieni. Jędrne jej piersi wystawiały swe końce, do dwóch dojrzałych żółdziej podobne, a śpiew jej był przytulonym szmerem wiatru w drzewach figowych.

Bob Stone, najmłodszy syn państwa, kochał ją i posiadał.

Tom Burnwell, ten, którego całe miasto nazywało Big Boy, kochał ją również, ale pracując po całych dniach w polu, nie mógł się jej dotychczas ze swą miłością oświadczyć. Myśli murzynki krążyły około obu, kiedy po wyjściu z kuchni, szła ku szczytowi wzgórza, śpiewając półgłosem w obliczu złowróznej pełni księżycowej.

Dziwny niepokój miotał sercem Luizy i przyspieszał powolny rytm jej pieśni. Miała bowiem spotkać się za godzinę z Bobem Stonem w gęstwinie trzciny cukrowej, a przeczuwała wizytę Toma Burnwella w chacie

Zszedłszy ze wzgórza, weszła do miasta robotniczego i opadła znużona na próg swego domostwa.

Jakieś psy zawały żałośnie. Zbudzone kury zagdakały; pianiem kogutów rozbrzmiała ulica. Tarcza księżycowa wznosiła się powoli ku gęstym białym obłokom w których miała ukryć się niebawem, a głosy murzynek zaintonowały mocniej:

Red nigger moon, Sinner!
Blood - burning moon, Sinner!
Come out that fact'ry door!

(Szkarłatny księżycu murzyński,
grzeszniku!

Płomiennie-krwawy księżycu,
grzeszniku!

Odejdź od progów fabryki teji!).

II.

Old David Georgia, pilnując miedzianego kotła, z którego aromat trzciny cukrowej niósł się po lesie i wzgórz ku miastu robotniczemu, opowiadał murzynom siedzącym wokół ogniska o białych ludziach, o wódce, którą przemycają, o zbiorce bawełny i urodziwych dziewczętach murzyńskich. Tom Burnwell, żując łydżę trzciny cukrowej śmiał się wraz z innymi do chwili, kiedy ktoś wspominał o Luizie, Bobie Stonie i jedwabnych pończochach, które pewnie dostała od niego.

Wówczas, zerwawszy się na równe nogi, z płomieniem w oczach rzucił zebranym w twarz: „Moja jest!“, skinął głową staremu Georgia i szybkim krokiem poszedł ku miastu.

Luiza siedziała na progu swej chaty. Stając przed nią, dotknął brzegu piłśniowego kapelusza, wsunął potężne pięście w kieszenie bluzy i bez słowa przywitania wypalił:

— Bob Stone kocha cię, Luizo. Któżby cię zresztą nie kochał? Ale nie tak, jak ludzie opowiadają! Nieprawdaż Luizo?

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć, Tom...

— Oczywiście, że nie wiesz! Dobrze, że nie wiesz...! Śpiewaj, śpiewaj, kochanie, a ja siedząc przy tobie, będę ci wtórował!

Wziąwszy doń jej w swoje ręce, kolos osunął się swem olbrzymim ciałem na próg chaty, tuż przy niej.

Tarcza księżycowa znikła w purpurze obłoków. Stara murzynka przyniosła zapaloną lampę i zawiesiła ją u studni gromadzkiej, której wielki cień padał na ulicę nawprost Toma i Luizy. Stara, śpiewając — wzięła łańcuch i ciągnąc ją ciężkie wiadro. Przez oświetlone okna widać było ruszające się, jak gdyby niespokojne, sylwetki, których głosy zlewały się z głosem starej. Cała ulica wraz z Tomem i Luizą śpiewała:

„Red nigger moon, Sinner!

„Blood - burning moon, Sinner!

„Come out that fact'ry door!

III.

Bob Stone krokiem niedbałym wyszedł ze swej werandy, kierując się poprzez gąszcz jodeł i magnolij ku plantacjom trzciny cukrowej starego Lemon'a, gdzie miał się spotkać z Luizą.

Cartwell mówił mu, że Tom Burnwell asystował Luizie, kiedy od niego wracała... To nie może być! Żaden murzyn nie odważyłby się umizgać do dziewczyny, należącej do niego, Boba Stona, potomka starego rodu Stonów! Niechby się który ośmielił...!

Tak rozmyślając doszedł do umówionego miejsca, ale Luizy ani śladu! Pewnie jest z Tomem Burnwell'em! Krew Bobowi w skroniach zabiła. Przedarłszy się przez las trzciny cukrowej, pobiegł drogą, wiodącą ku miastu i jak cień wynurzył się z ciemności, stając przed przytulonymi do siebie postaciami Toma i Luizy.

Tom zerwał się na równe nogi.

— Czego chcesz?

— To ja, Bob Stone.

— Doskonale. A to ja, Tom Burnwell. Czego tu chcesz?

Bob rzucił się nań... Ale Tom odskoczywszy w bok, sięgnął do kieszeni i błyskawicznym ruchem przejechał stalowym ostrzem po szyi Boba Stona. Z głuchym ękiem ranionym, chwytając się na nogach, powlókł się wzgórzem ku miastu białych. Murzyni, świadkowie zajścia, zamknęli się w swych chatach, gasząc w nich światła. Luiza oszłamiona, zdrewniała nie dała się zaciągnąć do domu. Stając się, podeszła do studni i cparła się plecami o cementową. Tom stał przy niej i zastygł w bez ruchu, jak w ziemię wbity.

Bob dowlókł się do gościńca, gdzie spotkawszy białych osunął się w ich ramiona, szepcząc:

— Tom Burnwell... Tom Burnwell...

Tłum ludzi białych, uzbrojonych w rewolwery, strzelby, powrozy, naftę i pochodnie szedł gościńcem ku miastu robotniczemu. Tom wiedział, że idą, ale nie mógł się ruszyć z miejsca. Niebawem otoczyła go ciżba wrogich postaci. Mężczyzna wysokiego wzrostu o cerze trupiej podszedł doń i przykładając mu lufę strzelby do brzucha, huknął:

— Ręce w tył, podły murzynie!

Skrepowano go.

— Spalić go! Spalić go żywcem w fabryce! — rozlegały się dzikie głosy w tłumie.

Tom zrobił ruch we wskazanym kierunku, ale musiano go tam zawlec. W ponurym milczeniu wbito pal na środku podwórza, przywiązano doń ofiarę powrozami, zrobiono stos ze zmurszałych desek i oblało go nafta. Twarz i wzrok Toma miały wyraz kamienny. Gdyby nie urywany oddech jego piersi, możnaby było przypuszczać, że już nie żyje.

Rzucano pochodnię na stos. Olbrzymi płomień, w spowiciu czarnego dymu, buchnął w górę.

Ciżba zawyla — i ścisła.

Oczy Toma wyskoczyły z orbit, a głowa opadła na piersi. Odór palącego się ciała nappełnił powietrze.

Tłum zawył. Wycie to, odbiwszy się o mury fabryczne, poszło echem w jedyną ulicę robotniczego miasta i ścisła.

Luiza, leżąc zemdlna przy studni, otworzyła z wolna oczy. W blasku złowróznej pełni księżycowej tonęły chaty murzyńskie. Śmiertelna cisza była wokoło.

Gdzie Tom Burnwell...? Gdzie Tom Burnwell...?

Ach! Trzeba zbawcą pieśń zanucić... Może Tom Burnwell do niej wróci... Może powróci...

Wzrok zamrtwiały utkwivszy w rozżarzona do białości tarczę księżycową, jęklącą nutą fletu ją zelcha zawodzić:

„Red nigger moon, Sinner!

„Blood - burning moon, Sinner!

„Come out that fact'ry door!“

Tłum. Jotsaw.



Rok V.

Niedziela, dnia 4 listopada 1928 r.

Nr 45.

„Danton” w Teatrze Miejskim.



W dniu 27 ub. mies. Teatr Miejski w Łodzi wystawił potężny dramat historyczny p. n. „Danton” R. Rollanda, osnuty na tle wielkiej rewolucji francuskiej. Zdjęcie nasze przedstawia zbiorową scenę aktu III-go.

TEATRALJA.

Józef Kotarbiński. — Premjery Warszawskie. — „Pani Blanka“. — 10-lecie Związku Autorów.

I znowu nad teatrem polskim powiała żalobnie chorągiew, opuszczona do połowy masztu... Odszedł w zaświaty Józef Kotarbiński, znakomity aktor, wielki obywatel jedna z najzdolniejszych postaci nie tylko w świecie sceny, lecz wogóle — w świecie sztuki polskiej. W końcu b. r. miała się od być właśnie oficjalna uroczystość 50-lecia pracy aktorskiej Kotarbińskiego, który w dniu 7 września 1878 r. debiutował jako Zbigniew w „Mazepie“ w warszawskim Teatrze Letnim. Życie Kotarbińskiego było jednym pasmem serdecznego a skuteczne go wysiłku dla chwały sztuki, dla splendoru polskości. W szranki swych artystycznych zapasów wszedł uzbrojony należycie, jako wychowawiec Szkoły Głównej, bogato utalentowany recenzent teatralny i literacki, współpracownik „Przeglądu Tygodniowego“, zapowiadający się jak najlepiej pisarz i publicysta.

Gdy debiut aktorski Kotarbińskiego stał się rewelacją, poświęcił się od tej chwili sztuce scenicznej, nie zrywając jednak z literaturą, której wiernym do końca dni swoich pozostał. Ze scen warszawskich przeniósł się Kotarbiński w r. 1893 do Krakowa, gdzie od r. 1898 w ciągu lat sześciu zajmował trudny posterunek dyrektora sceny tamtejszej. Był to bodaj najbujniejszy rozkwit teatru krakowskiego, uświetniony inscenizacją arcydzieł romantycznych („Kordjan“, „Dziady“, „Nieboska“), pamiętną współpracą dyr. Kotarbińskiego z Wyspiańskim, którego „Wesele“ po raz pierwszy wówczas ośmieliło widzów teatralnych. W r. 1907 powrócił Kotarbiński do Warszawy do teatrów rządowych na stanowisko kierownika literackiego, rozpoczynając okres wyjątkowej walki z cenzurą moskiewską o zachowanie polskości warszawskiej sceny. Najwybitniejsze dzieła dawnych i młodszych pisarzy polskich przesunęły się wówczas przed oczyma publiczności stołecznej, a sam Kotarbiński niejednokrotnie zjawiał się na scenie, ujmując zawsze szlachetnością i głębią tworzonych przez się kreacji aktorskich, zwłaszcza w zakresie t. zw. wielkiego repertuaru. Ostatnie lata przebył Kotarbiński na emeryturze, występując jednak od czasu do czasu w ulubionych sztukach, jak „Złota Czaszka“ — Słowackiego, „Safandula“ — Sardou, niedawno w „Walce“ — Krzywoszewskiego i innych.

Jako literat, o wysokiej kulturze ducha, ogromnej erudycji i niemierzchnącej świeżości zainteresowań i odczuwań pozostawił Kotarbiński szereg prac tak wartościowych jak świetne studjum o Wyspiańskim — „Pogrobowiec romantyzmu“, „Ze świata uludy“, „Aktorzy i aktorki“ i t. d. Żywość umysłu i doskonała pamięć Kotarbińskiego, który grywał w swoim czasie wspólnie z najsłynniejszymi gwiazdami aktorstwa polskiego (Żółtowski, Królikowski, Rapacki, Modrzejewska, Popielka), pozwoliły mu na ozdobienie prac o teatrze wiązką wspomnień, mających doniosłość historyczną. Ostatniego dzieła — monografii rządów dy-



Fragment z aktu II-go „Dantona“ z p. Jakubińską w roli Eleonory i p. Tatarkiewiczem jako Robespierre'em.

rektorskich w teatrze krakowskim — nie sądzono już było, niestety, Kotarbińskiemu dokończyć.

Głośny dramat czeskiego autora Fr. Langer — „Peryferje“ wystawiony został w warszawskim Teatrze Polskim. Jest to sztuka bezwzględnie interesująca w pomysłach, pełna świetnych figur i mocnych sytuacji, lecz nierówna w konstrukcji ogólnej, co należy przypisać komediopisarskim tendencjom autora — dramatu. Podmiejski apasz, z zawodu kelner jakiejś nocnej spelunki, zabija „niechcący“ przygodnego kochanka swej oblubienicy. Od tego momentu w życiu Franka wszystko zaczyna obracać się ku lepszemu, konflikt ze sprawiedliwością zostaje szczęśliwie ominięty, a wdowa po zamordowanym daje dość wyraźnie do zrozumienia, że właściwie stało się... dobrze. We Franku jednak budzi się sumienie, wiódące go aż do drzwi urzędu policyjnego, gdzie wyznaje zbrodnię. Nikt nie chce wierzyć Frankowi, przeciwko któremu niema ani dowodów, ani nawet poszlak. Biedak przeżywa dramat zbrodni nieukaranej, aż wreszcie, aby tę karę spowodować — z porady jakiegoś rozpamiętanego filozofa, eksedziego — zabija po raz wtóry, z celem i rozmysłem. Tym groteskowym akcentem kończy się dramat Langer, przynosząc dość sztuczne rozwiązanie psychicznego konfliktu Franka. Sztuka, jak to zwykle w Teatrze Polskim bywa, wyreżyserowana była pierwszorzędnie. W rolach głównych pp. Maszyński, Pancewiczowa i Stanisław-

ski mieli szerokie pole do popisu, wykorzystane z talentem i zapałem.

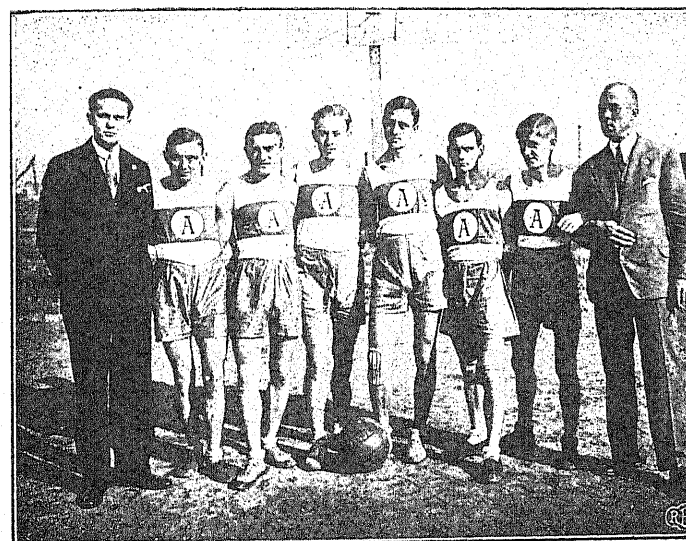
W grudniu b. r. związek artystów dramatycznych polskich obchodzić będzie 10-lecie istnienia. W związku z tem postanowiono wydać broszurę, poświęconą działalności związku oraz zwołać w Warszawie zjazd pisarzy dramatycznych polskich. Przy związku powstało niedawno biuro przekładów, które zajmować się będzie tłumaczeniem wybitniejszych współczesnych utworów polskich scenicznych na języki obce oraz pośrednictwem pomiędzy autorami polskimi a teatrami cudzoziemskimi. Związek A. Dr. podejmuje również wydawnictwo specjalnego biuletynu teatralnego w języku francuskim, który będzie informował zagranicę o rozwoju naszej twórczości dramatycznej i operowej.

Z nowości krakowskich wymieniamy „Panią Biankę“ — Lopeza, dość kłiwą melodramatyczną historyjkę włoską o uratowanej cnotce starszej damy, matki synalca defraudanta. Dyrektor banku, gdzie popełniono defraudację, skłonny był puścić ją w niepamięć za cenę miłości pani Bianki. Gdy mu jednak skruszony winowajca dowiódł jak na dłoni, że takie karesy dla interesu nie są warte, zrezygnował ze swych niezbyt czystych zamiarów i przebaczył młodemu utracjuszowi. W komedynie tej rolę tytułową świetnie zagrała p. Bednarzewska, a obok niej wyróżnił się p. Komornicki, jako dyrektor banku.

Delta.



W Łodzi odbyły się zawody o mistrzostwo Polski gry w „koszykówkę“. Powyżej drużyny, które brały udział w zawodach.

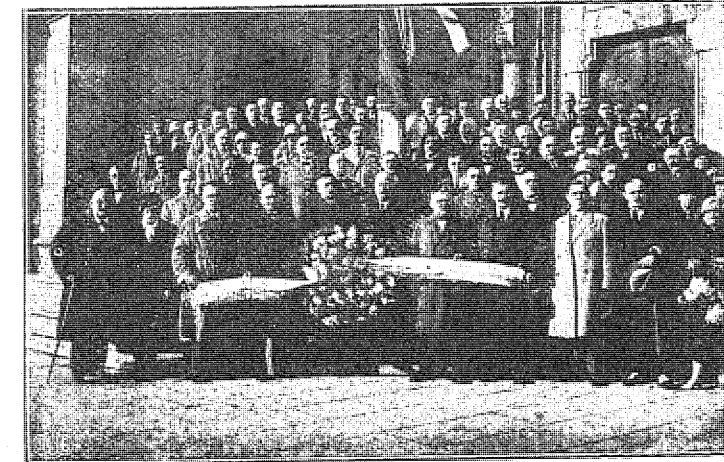


Mistrzostwo Łodzi w zawodach gry w „koszykówkę“ zdobyli „Absolwenci“. Na zdjęciu zwycięska drużyna piłkarska.



Elektrownia m. Łodzi realizuje plan elektryfikacji przedmieść i peryferji miejskich. Na krańcach miasta drużyny robotnicze prowadzą w szybkim tempie prace nad zakładaniem kabli-gigantów, przy pomocy których przedmieścia zasilane będą prądem i światłem. Na zdjęciu prace przy rozkopach.

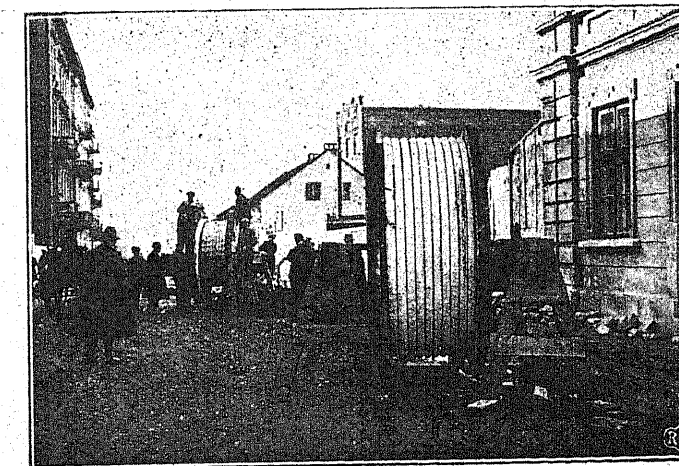
Fot. A. Meyer.



W ub. miesiącu odbył się w Łodzi wojewódzki zjazd właścicieli restauracji. Zjazd rozpoczął się odprawieniem nabożeństwa w katedrze św. Stanisława Kostki. Na zdjęciu uczestnicy zjazdu ze sztandarem na czele.



Grupa kierowników poszczególnych drużyn uprawiających grę w „koszykówkę“.





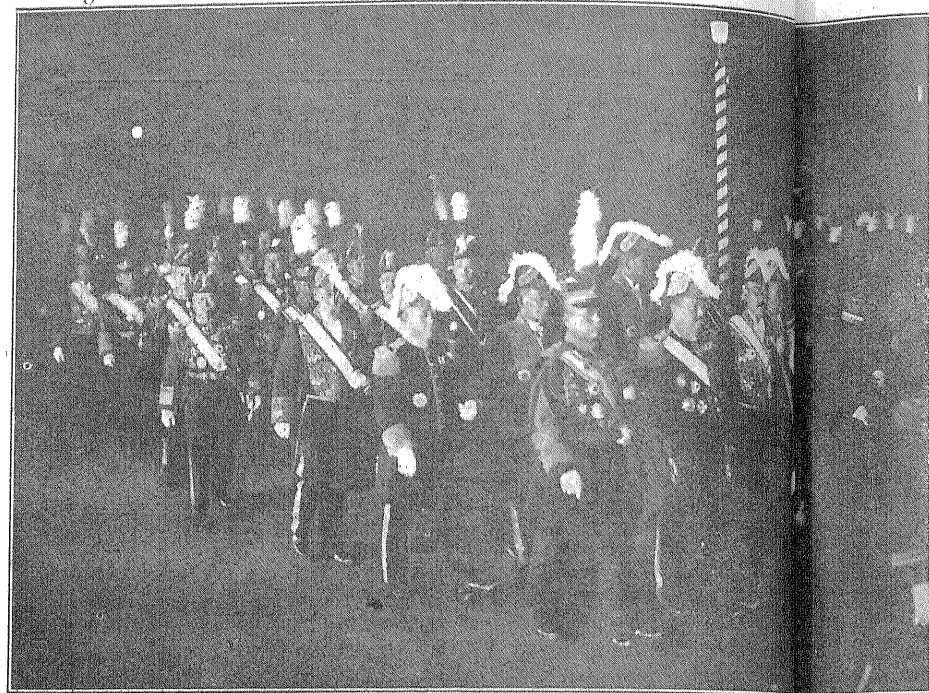
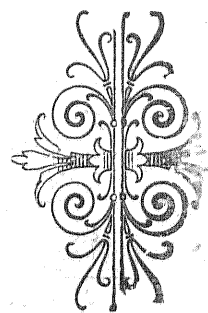
„Rewja” podbiła świat. Na wszystkich nadscenkach króluje ona wszechwładnie. Szczególnie zaklimatyzowała się na nadscenkach Berlina. Powyżej fragmenty rewji berlińskiej p. n. „Dla ciebie”.



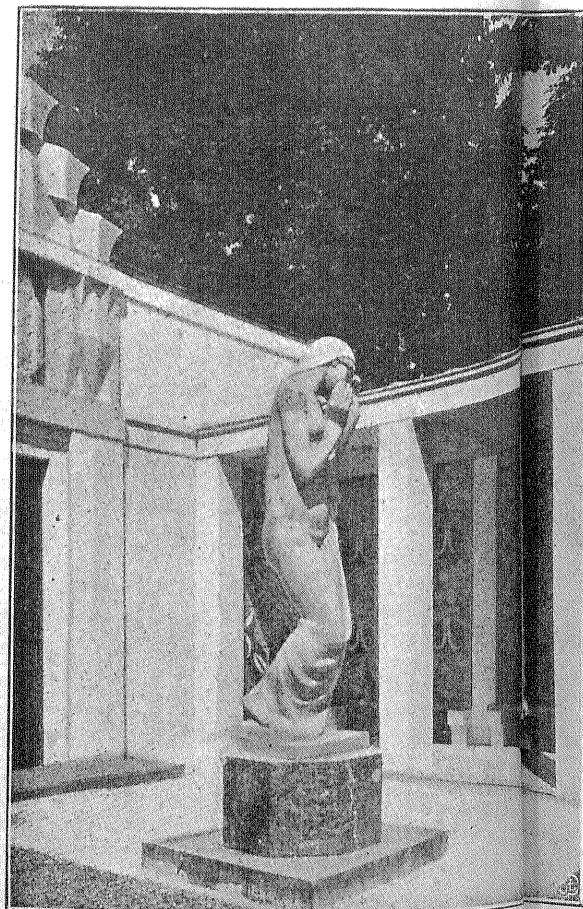
Marjon Davis w filmie „Wolny Polcie”.



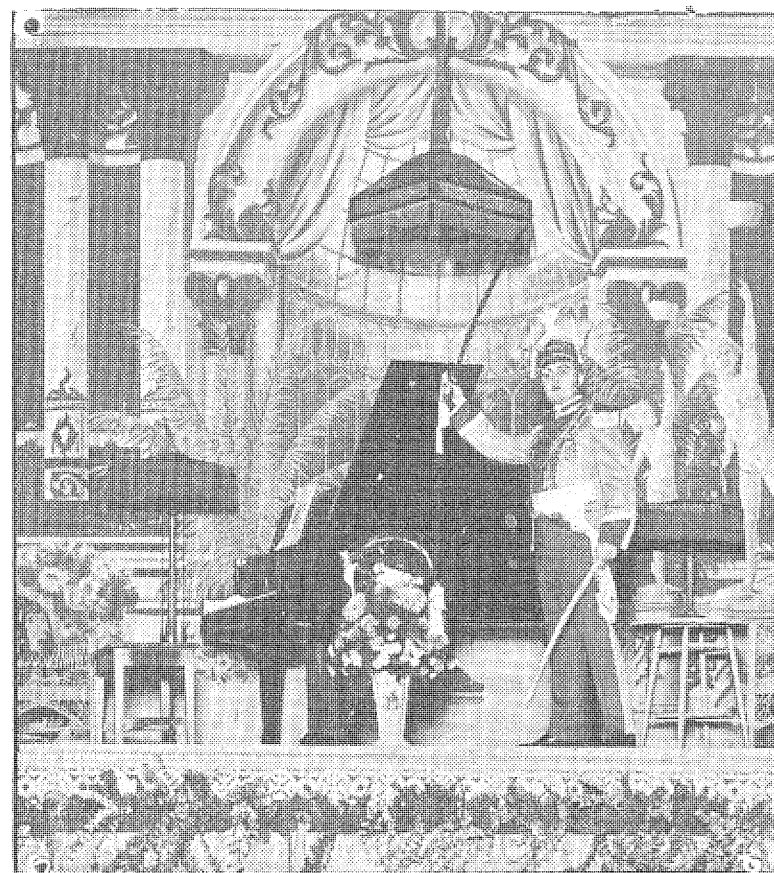
Jackie Coogan, ulubieniec młodych i starszych w kreacji „Marynarze”.



Obyczaje i obrzędy religijne Japończyków posiadają wiele cech charakterystycznych, szczególnie obrzędy ślubne i pogrzebowe. Pielęgnowane gorliwie, przechodzą z pokolenia na pokolenie i nie zmieniając się, zachowują swą pierwotność. Zdjęcie nasze przedstawia żałobny na pogrzebie jednego ze zmarłych dygnitarzy cesarskiego dworu w Jap.



Starorzymski dom patrycjusza. Powyżej fragment Atrium”.



Sztuka polska wśród obcych rozwija się i krzewi popierana przez liczne kolonie polskie rozrzucone po całej kuli ziemskiej. Niedawno przebywał na gościnnych występach artysta p. Kazimierz Worch za oceanem, gdzie występy operetkowe zjednały mu wielu zwolenników. Powyżej artysta w jednej ze swych kreacji.



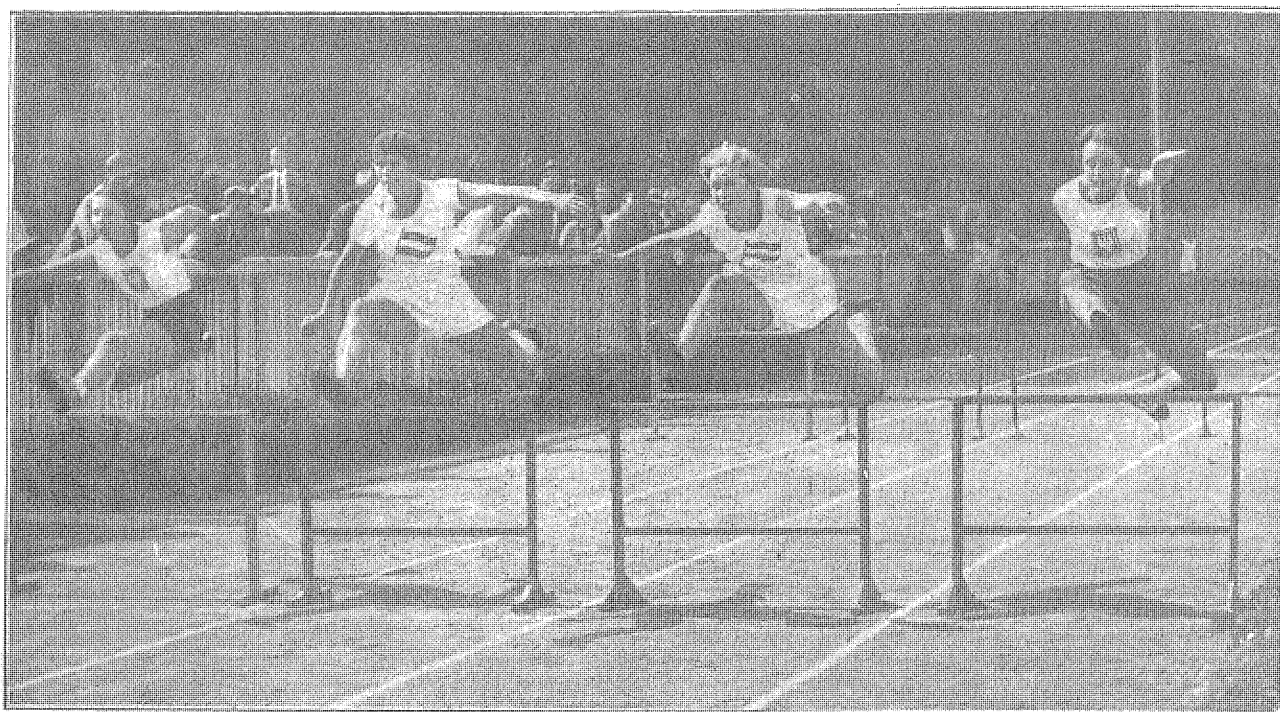
Marja Malicka i Zbyszek Sawan w przeróbce filmowej p. n. „Dzikuska”.



Najstarszy wiekiem Irlandczyk, 109-letni John Marron.



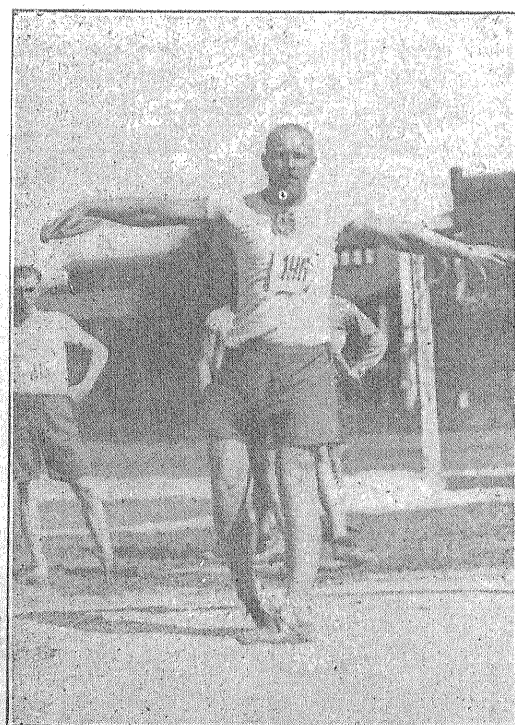
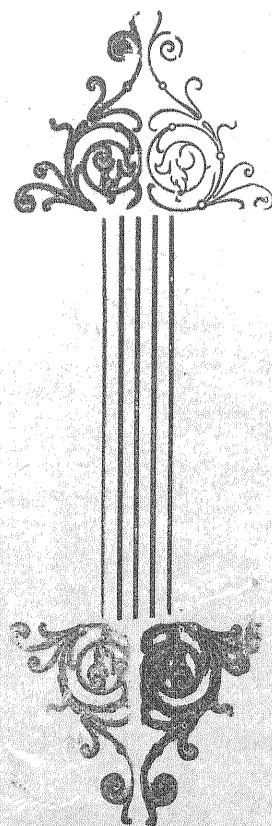
J. Crawford, artystka ekranu amerykańskiego.



Mecz kobiecy Austria — Polska w Wiedniu. Powyżej bieg 80-metrowy przez płotki. Od strony lewej pp. Schabińska, Singer, Perenda i Frainwaldówna w czasie biegu.



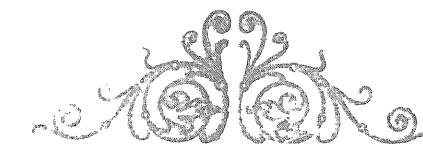
Japończycy z zamilowaniem poświęcają się wszelkiego rodzaju sportom, krzewiąc ideę wychowania fizycznego z całym zrozumieniem zadania. Powyżej widzimy Japonkę Hitomi w skoku.



Fragment z zawodów wszechpolskich policji państwowej, na których p. Kartasiński osiągnął w rzucie dyskiem 34,21 mtr.



Kinoteatr „Luna“ w Łodzi wyświetla piękny film „Ramona“ z niezrównaną Dolores del Rio w roli głównej. Powyżej fragment tego filmu.



Stanisława Korwin-Szymanowska, znakomita śpiewaczka polska.



Wkrótce w jednym z wielkich kinoteatrów w Łodzi ukaże się wspaniały film p. n. „Burza“, którego fragment widzimy powyżej, z Camilą Horn i Johnem Barrymorem w roli głównej.



Pułkownik Wieniawa - Długoszewski w karykaturze Edwarda Głowackiego.

Jajka na miękko.

Z nosami przylepionymi do ociekających szyb cała czwórka patrzyła na nawałnicę, która szalała w parku tonącym w ulewie. Drzewa uginające się pod zawieruchą drżały wszystkimi liśćmi z wami i rozkwitłe róże na długich łodygach osypywały się jedna za drugą w błoto.

Guy Treveur przerwał pierwszy milczenie:

— Niefortunny koniec naszej miłej przejażdżki, Moniko! A tak pragnęłam ofiarować ci w dzień twych urodzin wszystkie kwiaty mego klombu, rozstosowane niebo, cały czar pogodnego letniego wieczora. Nie udało mi się, niestety!

Monika nie odwróciła zachmurzonej twarzy od zalanego deszczem krajobrazu

— Nie dąsajże się tak bardzo, Moniko! Czyż przysłowie nie mówi że „po deszczu idzie słońce“? A przysłowia wszak są mądrością narodów. Wyżej przytoczone znaczy, że wszystko na świecie ma swoją porę i w danym więc wypadku po dąsach uśmiech powinien zawitać. Uśmiechnij się kochanie! Tak ci z tem ładnie!

— Nie irtuj mnie, Guy! Obchodzisz się ze mną, jak z rozgrymaszonym dzieckiem. Nie bierzesz pod uwagę, że ulewa ta psuje mi szyki!

— Nie przesadzaj, Moniko! — szepnęła młoda dziewczyna, stojąca obok niej. Czyż nie jest ci przyjemnie, że w taką pogodę znajdujesz się pod dachem twego narzeczonego i w miłym ci towarzystwie?

— Jak widzę, nie orientujesz się, Nelly, że nie wrócimy nigdy przed ósmą, ażeby mieć czas przebrać się i zdążyć na obiad do M-me du Rastel!

— I to cię tak rozstraja? Możemy przecież tutaj zjeść obiad! Nie taki smaczny zapewne, gdyż na wsi trudno o prowianty. tem bardziej, że przekupka, przeczuwając nawałnicę wcześniej niż zwykle odjechała do miasta... Mimo to można sklecić jaki taki obiad. Chodź, Moniko! Sprobujemy razem ugościć twoją kuzynkę Nelly i miss Wachs, twoją guwernantkę. Jak to będzie zabawnie! Mówiąc tak, młody człowiek, rad ze swego pomysłu, próbował odciągnąć narzeczoną od okna. Szorstkim ruchem odrzuciła go:

— Zostaw mnie, Guy. Wcale mnie taka zabawa nie nęci! Jesteś, doprawdy, niemądry! Daj mi spokój, powtarzam ci! Mam migrenę!

Żdziwiony i głęboko smutny zarazem wzrok objął wysmukłą sylwetkę wysokiej blondyny, stojącej we framudze okiennej.

— Nie rób takiej tragicznej miny, Guy — rozległ się wesoły głos tuż przy jego uchu. Skoro Monika jest cierpiąca i nie może ci dopomóc, ja ofiaruję tobie moje skromne usługi, które nie są bezinteresowne zresztą, bo głodna jestem jak wilk.

Z temi słowami Nelly zrzuciwszy płaszcz skierowała się zdecydowanym krokiem do kuchni, dokąd młody człowiek z wypogodzoną twarzą powędrował za nią.

Przewidywania prowizorycznego gospodarza okazały się słuszne. Prowianty były skąpe: duża miska posiomek, mleko, chleb, masło i kilka jaj w koszyku obok kartofli zapomnianych podczas ostatniej wizyty młodego właściciela.

— Widzisz! zawołał Guy Treveur żałośnie:

— Widzę, ale niema racji robić taką zropczoną minę. Jest z czego przyrządzić wcale dobry obiad. Obierz mi te apetyczne bulwy, a ja tymczasem rozpalę ogień i przy pomocy grudki masła spreparuję wam takie „pommés frites“, że palce oblizywać będziecie! Monika zaś ugotuje nam na maszynie spirytusowej jajka na miękko.

— Dodajesz mi odwagi, Nelly! — odparł żywo Guy, zabierając się rzeźko do roboty.

Niebawem jasny ogień zapłonął w kuchni i złote „frites“ tańczyły na patelni.

— Moniko! Moniko! — wołała Nelly wesoło. — Chodź nam dopomóc zamiast przyglądać się ulewie, która nie ustanie zresztą tak prędko!

— Po co te przygotowania? — mruknęła Monika chmurnie, stając na progu kuchni. — Czy nie moglibyśmy pomyśleć o odwrocie, żeby zdażyć na obiad do M-me de Rastel?

— Co znowu! — wybuchnęła Nelly śmiechem — już w pół do dziewiątej, a chmury ani myślą się rozchodzić. Przejdź do porządku dziennego nad tem, czemu nie możesz przeszkodzić i pomóż narzeczonemu robić honory domu przy pierwszym twoim obiedzie u niego!

— Obiad bardzo skromny. Moniko — dał Guy Treveur — czyż niema jednak uroku sielanki?

— Wcale nie... Śmiesz mnie tylko wasze dziecinne i zbyteczne przygotowania!

— Do stołu. Do stołu! — woła Nelly na cały głos, chcąc położyć koniec rozmowie równie jak pogoda burzliwej. — Weź Moniko ten rondel z wrzącą wodą i ugotuj nam jajka na miękko, dobrze?

— Nie drażnij mnie, Nelly! Ja nie jestem kucharką! Nie licz na mnie! — krzyknęła Monika, odpychając tak brutalnie kuzynkę, że jedno z podawanych przez nią jajek upadło i stłukło się na ziemi...

Milczący, zeszywniały i nieruchomy Guy Treveur patrzył na swą narzeczoną, która stała przy nakrytym stole blada ze złości.

— Nie martw się Guy! To wypadek! Mamy na szczęście, kilka jaj jeszcze w koszyku! — pocieszała go młoda gospoia. Ja umiem gotować jajka na miękko! Nasza stara kucharka mówiła, że na to aby jajka na miękko były dobrze ugotowane, trzeba od-

mówić trzy Ave Marja w czasie gotowania. Zobaczycie zaraz.

Podczas kiedy Guy, miss Wachs ciągle spokojna i Monika ciągle nadąsana, choć zawstydzona nieco swoją porywcznością, siadali do stołu, Nelly, pochylona nad rondlem z wrzącą wodą, z powagą i prostotą odmawiała trzy przepisane zdrowaśki.

Tak była oddana swej robocie, że nie widziała utkwionego w nią badawczego spojrzenia.

— Już! Jajka powinny być gotowe! Czy będą dobre przynajmniej?

Zwawym i pewnym ruchem rozbiła skorupkę swego jajka i radosny rumieniec okraszył jej wyrazistą twarzyczkę.

— Doskonałe! Utrafilam! Jakże się ciesze! — zawołała klaszcząc w ręce.

Zaimprovizowany obiad odbył się w przestronnej kuchni wiejskiej o okopconych belkach przy akompaniamencie wesołego śmiechu Nelly i ujmującej rozmowy Guy Treveur'a, bardzo przejętego swą rolą pana domu.

Wypogodziło się tymczasem. Księżyc srebrzysto-biała swą poświatą padał na perłace się błyszczącymi kroplami deszczu trawniki i klomby parkowe, kiedy auto, unoszące ciągle jeszcze zachmurzoną Monikę i resztę rozbawionych gości, potoczyło się ku miastu.

Guy Treveur przybył w jakiś czas potem do swej starej siedziby wiejskiej wraz z młodą żoną. Z tą tylko różnicą, że młodą żoną nie była Monika, spragniona uciech światowych ex-narzeczoną, lecz wdzięczna i wesoła Nelly, która nic o tem nie wiedząc, zdobyła męskie serce w pewien wieczór słotny swoją czarującą prostotą.

Tłum. Jotsaw.



Bronisława Rychter-Janowska, znana komita artystka-malarka.



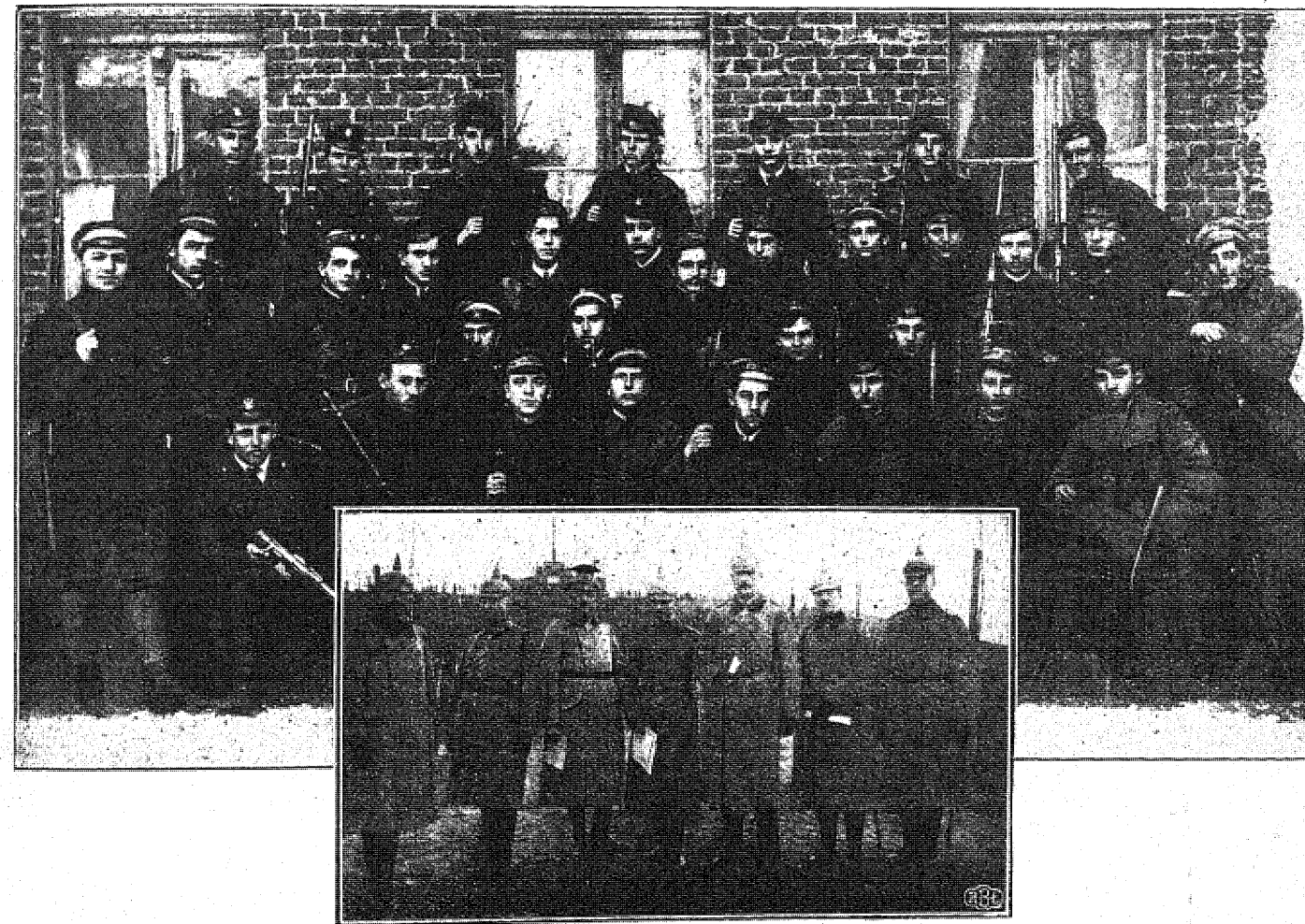
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Niedziela, dnia 11 listopada 1928 r.

№ 46

W historycznym dniu wyzwolenia...



Miesiąc listopad posiada swe złote karty w dziejach walk narodu polskiego o wolność. Niedawno, bo zaledwie 10 lat temu przybyła historii tej piękna karta poświęceń i ofiar złożonych na ołtarzu ojczyzny. W dniu 11 listopada 1918 roku rozsypała się wniwecz monarchja niemiecka. W pamiętnym tym dniu zajaśniała na ziemiach polskich jutrznia wyzwolenia. Naród polski chwycił za broń i wypędził pruskich najeźdźców. Wiele poświęceń okazała w urzeczywistnieniu idei wyzwoleniczej młodzież szkół polskich, którą zdobywszy broń, stanęła murem w obronie wolności. Powyżej piękna i zbrojna grupa młodzieży szkolnej, niżej zaś ciemiężyciele polskości w chwili opuszczania Łodzi na zawsze.